ROZMAITOŚCI.

Dnia 12. Lutego **N^er 7.** **Roku 1842.**

PAN SIEMASZ.

KILKA RYSÓW Z ŻYCIA MŁODEGO SZLACHCICA.

(Dokończenie.)

6.

SPÓŁŻALOTNIK.

Upłynęło kilka miesięcy, ubiegła jesień i zima, z powrotem skowrónka zawitała wiosna, a miłość naszych kochanków, lubo powoli, ale coraz mocniejszym kojarzyła się węzłem; utwierdzona poufałym wyrazem *ty* i piérwszym pocałunkiem, który jest jak wyłom w twierdzy, i ułatwia jéj zdobycie; biada zagrożonemu nieprzyjacielowi, jeźli zwycięzca na téj piérwszéj nie poprzestając korzyści, coraz natarczywszym się staje; nie długo oprze się twierdza, upadnie, a szczęśliwy zwycięzca wkrótce na jéj murach swój tryjumfujący zwycięzki sztandar wywiesi.

Nie przyszło do tego z panem Matyjaszem, (bo Matyjaszkiem nie śmiemy już nazywać zmężniałego młodzieńca, który się na męża wykształcał). Powoli popiérał piérwsze swoje miłosne korzyści, utrzymując je zawsze w obrębie granic przyzwoitych; dla tego też miłość jego bez szałów chwilowych, ale i bez następstw goryczy, same godziwe tylko a więc przyjemniejsze nie zepsutemu sercu sprawiała rozkosze, gdyż nie było jeszcze wtedy, jak na szczęście dla owoczesnéj młodzi, ani Sandów, ani Balzaków, ażeby rozognioną podsycały wyobraźnię, a *wierny Leonildzie Koleander,* jedyna, jaką czytał, książka miłosna, nie zdołała bynajmniéj zgubnych wywrzéć skutków, bo nie podając w złotéj czarze trucizny, do jéj wypicia zachęcać nie mogła. Najwięcéj, jeźli sobie pozwolił na uproszenie panny Jadwigi, by wieczorem potajemnie wyszedłszy do ogrodu, z godzinkę w poufałéj pogwarzyła z nim rozmowie, tak czystéj jak gwiazdami osute niebo nad nimi, jak ów promień księżyca, który sam jeden będąc świadkiem ich, niech tak rzekę, umysłowéj rozkoszy, ich pieszczot niewinnych, nie zapłonił się niemi. Byłato bez wątpienia najczystsza ogrodu łańcuckiego para, bo na tak wykwintnym, zepsutą zgrają cudzoziemców napełnionym dworze, nie obeszło się i bez intryg miłosnych, na które czysta Luna, przypomniawszy sobie swój ród mitologiczny, nieraz za ciemne skryła się chmury, by raczéj nic nie widziéć, niźli powtórzyć już spowszedniałą scenę Akteona, która wpływem wieków straciwszy na swéj moralnéj dążności, śmiésznością tylko okryłaby nieproszonego wybawcę.

Już od pół godziny ukryty w cieniu rozkwitających bzów perskich, czekał młody pan Siemasz na swoję Dulcyneę: godzinami wydawały się mu chwile, a jéj jak nie było, tak nie było. Już zégar zamkowy uderzył jedynastą, a ona jeszcze nie przyszła. Sto razy przeszedł młody kochanek po ścieżce wiodącéj do tajemniczéj altanki, wszystkie kwiaty, wszystkie prawie liście na krzaku bzowym obliczył, a panny Jadwigi doczekać się nie mógł. Zniecierpliwiony, każdy szelest liści w krzewinie brał za odgłos jéj drobniutkiéj stopy, i zawsze omylony, to z nudów podkręcał wąsa, to mechanicznie dotykał się krótkiéj tureckiéj karabelki*), bez któréj jako prawy szlachcic, nawet na miłosną nie wyszedł przygodę. Naraz zasłyszał lekki tętent biegnącéj cwałem osoby,

*) Karabelki te, ponieważ najwięcéj ze Lwowa wychodziły, powszechnie lwowskiémi zwano.

i zadyszana, trwogą rozogniona dziewica, jak spłoszona lotem jastrzębim gołąbka, rzuciła się w jego objęcie, twarz strachem pobladłą i mocno bijące łono ukrywając na piersi młodziana. Jasny promień księżyca oświetlił właśnie jéj lice i w nieładzie rozpuszczone włosy i rozwiązaną z pod kabacika chusteczkę, na któryto widok, zapomniawszy młodzieniec czynić wyrzutów kochance, że tak długo dała czekać na siebie, z nieodgadnioném uczuciem obawy jakiegoś nieprzyjemnego wypadku, do bijącego przyciskając ją serca, chciał zatrwożoną w swych mężkich obronić i utulić ramionach. »Cóż ci to jest Jadwisiu?« zawołał po chwili, gdy dziewica trochę przyszła do siebie.

»Dzięki Bogu, że cię znajduję, ach! gdybyś wiedział panie Matyjaszu, co mi się stało, gdym szła tu do ciebie; musi to być coś złego, że my tak sam na sam rozmawiamy, bo wiele razy tu biegnę, zawsze mi coś nieprzyjemnego się zdarzy, raz mnie pies pański nastraszył, a dzisiaj....«

»No, i cóż dzisiaj?«

»Kamerdyner księcia *Monsieur Lafleur* gonił za mną, zaledwom uciec mogła.«

»*Monsieur Lafleur* powiadasz?«

»Tak, on zawsze gdzie się pokaże, prześladuje mnie swoją osobą.«

»O! uważałem ja dobrze, jak on na ciebie swémi kociémi strzela oczyma; nie daruję mu tego i jak złapię kiedy tego przywłokę, to mu dam taką naukę, że mu się odechce polskie panienki napastować.«

»Ach, nie czyń tego, on faworytem księcia.«

»Choćby nawet samego króla Jegomości, nie puszczę mu tego płazem, wara chamowi od szlachcianki, wara od urzędniczki, od osoby, która mnie affektem swoim zaszczyca.« I ścisnął dziewicę i pięścią żylastą chwycił za rękoiść karabelki; krew szlachecka zawrzała w jego wnętrzu, nie długo rozmawiał z dziewicą, i wkrótce odprowadziwszy ją aż pod sam zamek, nie poszedł do oficyn, gdzie było jego pomieszkanie, lecz w myślach zatopiony przechadzał się jeszcze po ulicach ogrodu. Czapkę zasadził na bakier i sam z sobą jakąś namiętną prowadził rozmowę, bo gęsto machał rękoma i wydobytą szabelką ścinał gałązki strzyżonego szpaleru. — Gdy tak gniéw swój zazdrością podżegany, na milczących wywiérał drzewkach, coś znowu zaszeleściało w chaszczach i *Lafleur* stanął przed nim. Oświetleni promieniem księżyca poznali się obadwaj.

»A to wpan *Monsieur* Siemasz«, zawołał niby zdziwiony kamerdyner księcia. »Nie sądziłem«, dodał ironicznie, »że mospan Polak lubi podsłuchiwać słowika i sam tutaj po księżycu się błąka, kiedy koledzy jego w oficynie rozprawiają hucznie przy butlu węgrzyna.«

»Kiedy mnie mój panie o słowika zaczepiasz, to ci powiem otwarcie, że rad śpiéw jego słyszę, ale nie ciérpię tego, kiedy mu puhacz swoim kocim głosem przeszkadza.«

»Puhacz, powiadasz wpan? Nie rozumiém go, gdzieżto słyszałeś puhacza?«

»Słyszę i widzę go w osobie wpana Mości kamerdynerze *Lafleur*, wiém za kim się tu skradasz, ale źle się wybrałeś mój panie i strzeż się, byś na plecach méj karabelki nie poczuł.«

»Co wpan przez to chcesz powiedziéć?«

»To, mój Mości, że go raz jeszcze przestrzegam, ażebyś miał się na uwadze, bym ci twych chudych łytek nie podciął.«

»Mospan Polak żartować raczy«, rzekł zmieszany cokolwiek, lecz miną nadrabiający Francuz.

»Nie żartuję z tobą mój ty przedpokojowy padalcze, który jak chytry wąż się czołgasz; mam już dawno z tobą na pieńku, dobywaj, albo ci uszy obetnę!«

»Ho, ho! nie tak prędko mój Mospan Polak, i ja jestem szlachcic mój panie, i ja mam szpadę przy boku, i tobie to uważać należy, byś nie pożałował niewczesnego gniewu, którego pojąć nie mogę.«

Żywy Francuz rozognił się także tą zaczépką, któréj się wcale nie spodziéwał. Ufny w sztukę fechtmistrzowską, która bynajmniéj obcą mu nie była, dobył cieniutkiéj szpady i przybrawszy szermierską postawę, stanął w obronie do odbicia zamierzonego nań cięcia. Ale nie z ćwiczonym w sztuce szermierstwa zapaśnikiem, lecz z silnym młodzieńcem miał do czynienia, który w brew wszelkim prawidłom fechtunku, z góry na niego natarł i tak mocno

karabelką w szpadę uderzył, że ta na dwoje się złamała. Widząc przed sobą w ten sposób rozbrojonego Francuza, chwycił go za kołnierz i tęgo wypłazował.

»*Pardon!*« wołał upokorzony i ból czujący Francuz, któremu tego żartu było za nadto.

»Puszczę cię, ale pod jednym warunkiem.«

»A ten jest?« zapytał usiłujący wyrwać się z rąk jego kamerdyner.

»Kładę warunek, że nie dasz więcéj powodu do podobnego z tobą spotkania się, inaczéj tak cię przewitam, że sobie przypomniész, gdzie pieprz rośnie.«

»Zgoda!« odrzekł Francuz mimowoli, ale Polak jeszcze go nie puszczał.

»Pamiętaj cudzoziemcze«, mówił daléj młody Siemasz, »ażebyś milczał o téj całéj sprawie, bo nie tylko my dwaj mamy w niéj udział. Osoba, któréj tu nie wymieniam, ale któréj domyślasz się zapewne, jest dla mnie zbyt szanowną, zbyt świętą, ażebym dopuścił, iżby choć najmniejsza skaza dotknąć się miała jéj niepokalanego imienia. Rozumiész mnie Francuzie? Co do mnie, zamilczę o wszystkiém i dwór nie dowie się, że uchodzący za zucha *Monsieur Lafleur*, sławny szermierz na szpady, tak nieszczęśliwy z kordem polskim odprawił tu pojedynek.«

Nastąpiły więc ze strony Francuza jak najuroczystsze zaklęcia i pan Matyjasz puścił go nareszcie z swych rąk żylastych. Zaklęciom jego w tym przypadku można było tém bardziéj dać wiarę, ileże jemu samemu najwięcéj o to chodziło, ażeby rozgłoszeniem téj przygody nie wystawił się na pośmiewisko dworzan, bo był Francuzem, a Francuz ściągnienia na siebie śmiészności, bardziéj niżli śmierci się lęka. Nie myślał zatém, związany tym sposobem, z jawném wystąpić oskarzeniem, ale postanowił szyć buty pokryjomu, a do tego jako faworytowi księcia, mogło się mu niemało sposobności nadarzyć. Poprawiwszy więc zderanżowany utarczką krawat, odszedł jak zmyty ze spuszczonym na kwintę nosem.

7.

POWIERNICY.

Nazajutrz po nieszczęsnéj walce młodego Siemasza z kamerdynerem *Lafleur*, w wychodzących na ogród oficynach, w dużym pokoju, którego ściany instrumentami muzycznémi były obwieszone, siedziało o zmroku przy dwóch jarzących świécach, dwóch z cudzoziemska ubranych dworzan i poufną w języku francuzkim bawili się pogadanką. Jednym z nich byłto znany nam już kamerdyner *Lafleur*, drugim w dużéj peruce z ogromnym nosem, bladéj twarzy mężczyzna, którego oczy jak dwa czarne punkty z żywego srebra, nieustannie w wyżłobionych dołkach biegały. Przed nimi na stoliku przykrytym jasno-kolorowym dywanikiem, stała butelka wina, z któréj do kryształowych kubków często złotawego nalewając płynu i w powolném rozkoszując piciu, tak prędko i żywo mówić się zdawali, że jedno słowo drugie goniło.

»Jak ci powiedziałem *Monsieur Stocatto*« rzecze *Lafleur* do perukowego długonosa, »nauczyłem *mores* tego zuchwałego szlachetkę i wytarłem mu kapitułę, że będzie o mnie pamiętał.«

»Dobrześ zrobił przyjacielu«, odrzekł popijając perukowy »z témi niedźwiedziami nie można inaczéj postąpić. Poświęcamy się dla nich, by ich ucywilizować, dla nich z naszéj rozkosznéj ojczyzny, z nad brzegów Sekwany lub Tybru, przybywamy w tę mglistą daleką północ, a oni nie znając się na tém, jeszcze nam czasem poburkują i radziby nas w łyżce wody utopić.«

»Szczęściem, że pan nasz nie tak myśli«, podchwycił *Lafleur*, »bo inaczéj ani chwili bym tu nie wytrzymał, i dziś jeszcze powrócił do mego ukochanego Paryża; ale on wié, jak mu potrzebni jesteśmy, jak wiele z naszego towarzystwa skorzystał, i umié cenić nas jak przynależy. Ty *Monsieur Stocatto*, jako kapelmistrz jego nadwornéj orkiestry, pieścisz, tylko do ryków niedźwiedzich przyzwyczajone ucho, melodyjami słodkiéj muzyki włoskiéj; ja znowu paryską toaletą przekształcam go na człowieka; bo jakżeby wyglądał, gdyby mnie tu nie było, może (dodał śmiejąc się z całego gardła) jak owe wygołone przodków jego w sali jadalnéj figury, na które patrząc, nigdy od śmiéchu wstrzymać się nie mogę.«

»I mnie się tak dzieje przyjacielu, ale nie mówmy więcéj o naszém poświęceniu

się, na którém oprócz samych państwa, nikt się tu nie rozumié; powiédz raczéj, zkąd to pochodzi, że ta nieszczęsna zaraza owładła nawet płeć niewieścią, i panny tutejsze wolą tych wąsatych gburów, niźli nas, nas przyjacielu, którzy kawiarkom nawet na przedmieściu *St. Germain* zawracaliśmy głowę, a czyż do najlichszéj z Paryżanek, nawet tutejszą tak zwaną obywatelkę, porównać można?«

»Chciałeś, ażeby gąska zapragnęła bażanta, kiedy ona tylko na piękności gąsiora poznać się umié. Ja sam jak mnie tu widzisz, tak szczęśliwy w mojéj ojczyźnie kochanek, tu nadaremnie o skaliste szturmuję serca; ale pomszczę się za ten zły gust z ich strony, a szczególniéj na téj, jak ją tam zowią, pannie Jadwidze Jw–Jw– diabeł wymówi jéj barbarzyńskie nazwisko, pomszczę się, powiadam, bo mam poszlakę, że ta nieprzystępna westalka, ta skała z lodu, dla owego dworzanina, którego wczora tak starłem, daleko jest grzeczniejszą, i przydybałem ich raz, jak z sobą potajemnie w ciemnéj altanie wieczorem rozmawiali.«

»Trzebaby ich bardziéj jeszcze zbliżyć ku sobie, a potém na śmiészność wystawić«, rzecze świéżą butelkę stawiając na stole długonosy kapelmistrz orkiestry, »naprzykład potajemne *Rendez-vous*, ażeby potém cały świat o tém wiedział, a wyforujemy ich z dworu.«

»Ślicznie mówisz, i ja już o tém pomyślałem. Plan wyborny przyszedł mi do głowy. Użyłem do tego jednéj z przyjaźnych mi panien pokojowych księżnéj, ta napisała list niby od Dulcynei naszego szlachetki, z wezwaniem, by nocną porą przybył pod jéj okna i po drabince wlazł do jéj panieńskiego pokoju. Skoro tam już będzie, narobimy krzyku, złapiémy ptaszka na uczynku, a księżna, która bardzo przyzwoitości przestrzega, niezawodnie oboje, bez bliższego wyśledzenia rzeczy, a przynajmniéj jego, każe z dworu wypędzić.«

»Mistrzowsko pomyślano«, z kordyjalnym uśmiéchem potakiwał kapelmistrz; »ale czy uwierzy, czy da się złapać nasz ptaszek, czy zmyślonego nie pozna charakteru.«

»Wszystkie kobiéty mają jednakowy sposób pisania, wszystkie jak kury bazgrzą. Zresztą ten młody borsuk bardzo łatwowierny i bez wahania się wpadnie w jamę, którą mu wykopałem. Zostaw mojemu dowcipowi te łowy, a spolujemy go niezawodnie. Nie byłbym Paryżaninem i zaparłbym się na zawsze tego szczytnego nazwiska, gdybym jednego sarmackiego gbura w pole wyprowadzić nie potrafił.«

»Ciekawy jestem, jak to wypadnie«, dodał długonosy wycedzając resztki z butelki. »Na wszelki przypadek będzie się śmiać z czego, a to już jest wielką w naszém jednostajném życiu korzyścią. Gramy zawsze piano i piano, trzeba raz się basem odezwać, chociażby nawet struna pęknąć miała, a wiém dobrze, że choć pęknie, to nie na naszym instrumencie.« I najczuléj pożegnawszy się, rozstali się dwaj powiernicy, a *Lafleur* jak wódz przed potyczką, pospieszył jeszcze przejrzéć plan, który pewne rokował mu zwycięztwo.

8.

POŻAR.

Fatalny list, owoc intrygi dworskiéj, dostał się do rąk pana Matyjasza. Już go on z dziesięć razy przeczytał, a jeszcze osnowie jego zaledwo wierzy. Za śmiałém, za gorszącém na młodą panienkę wydaje się mu wezwanie odwidzenia w nocy świątyni jéj skromności i cnoty. Myśli co począć, czy nie pójść i dla ocalenia jéj sławy, w żart obrócić ten cały wypadek, czy pójść i skarać tę, która się tak bardzo zapomniała. Ale ona zapomniała się dla niego, to pochlebia jego miłości własnéj, przekupionéj przywiązaniem do istoty, która mimo tego zapomnienia się, wydaje się mu zawsze jeszcze tyle powabną, tyle dobrą, że złych zamiarów bynajmniéj nie przypuszcza i wszelką nieprzyzwoitość na karb miłości składa. Najłatwiéj było wybadać ją, ileże kilka razy, jak gdyby umyślnie, nawinęła mu się w dniu tym przed oczy; ale w chwili ujrzenia jéj, ogarnęła go pewna nieśmiałość, sam zarumienił się za tę, która przy swobodnym umyśle, wesołém okiem poglądała na niego; nie zaczepił jéj, ukłonił się i odszedł w milczeniu, rozmyślać nad tém, co uczyni; a tym czasem co chwila odczytywał list i błądził po ogrodzie i poglądał

w okno swéj kochanki, za którego zasłoną miał być odczarowanym z wiary w świętość uczuć niewieścich, z wiary w płeć, do któréj zacna matka jego należała.

Tymczasem leniwo przepełznął dzień i wieczór się zbliżył. Zasępiło się niebo, nagromadzone chmury groziły deszczem, a wichr, który od Zachodu się zerwał, wstrząsał drzewami ogrodu, szumiał po szpalerach i altanach. Zamilczeniem spłoszonego burzą ptactwa, oniemiał ogród i tylko z dala od psiarni słychać było poszczekiwanie psów, jak gdyby rozmawiających z widmem burzy, które, to wirem kręciło się po piasku, to słupem kurzu bujało ku brzemiennym deszczem obłokom. Ogród stał pustką i tylko pan Siemasz mniéj bacząc, że co chwila rozlać się mogą obłoki, że grom z daleka huczący, może wkrótce bliżéj uderzyć, siedział na kamiennéj ławeczce, mając oczy wlepione w okna swéj kochanki, a w ręku list ów, który po każdéj przykrzejszéj myśli miał coraz mocniéj. »Pójdę« rzekł nareszcie stanowczo, gdy zégar trzy kwadranse na dziesiątą uderzy. »Da Bóg, że się to szczęśliwie wywinie, że ją ujrzę niewinną w tym kroku, jak była w całém życiu niewinną. Wtedy nie powiém jéj, jak czarne dręczyły mnie domysły, utłumię je w sobie i chwilowe powątpiewanie wieczną okryję tajemnicą. Lecz gdy się inaczéj przekonam, powiém, że się na mnie zawiodła, rzucę jéj list w oczy i wyrzeknę się nadziei, którą byłem powziął w sercu; noga moja nie powstanie tu więcéj, nie powstanie, jakem *Sodalis Marianus*.

Uderzyła godzina dziesiąta a jéj ostatnie brzmienie mrozem przeszło po Matyjaszu. Jak gdyby umyślnie stała drabinka ogrodowa pod oknem Stolnikównéj, a okno nie było wysokie. Przeżegnał się młody Siemasz i już miał się wspinać do góry, gdy naraz wichr zawył, zygzakiem przebiegła łyskawica po widokręgu, grom runął, a z okien dziecinnych pokojów księżnéj, dym się pokazał i buchnął na ogród i ozwały się przeraźliwe głosy niewieście, o pomoc wołające. W mgnieniu oka już płomienie oknem sadziły, a krzyk wewnątrz coraz naglejszym, coraz przeraźliwszym się stawał. Młody dworzanin nie namyślając się długo przystawił drabinkę do zagrożonego okna; po gzymsach jak kot dziki dostał się do niego i środkiem buchających płomieni wskoczył do pokoju, gdzie bony i niańki w największéj były trwodze, bo drzwi palić się zaczęły, a nawet wschody ogień ogarnął. Zastał już ratujących ludzi, którzy z wewnętrza pałacu w pomoc nadbiegli. Ratunek był szybki, lecz jak zwyczajnie w takich przypadkach, bez ładu i porządku. Gdy już wszystkie niewiasty były ocalone, nagle krzyknęła jedna z dozorczyń: »Dla Boga, księżniczka została w palącym się pokoju!« Już wschody były w połowie spalone, lecz Siemasza bynajmniéj to nie odstraszyło, jak szatan piął się po rozżarzonych zgliszczach, wpada do napełnionego ogniem i dymem pokoju, porywa dziécię z kolébki i szczęśliwie przez okno spuszcza się z niém do ogrodu, właśnie gdy trzask zapadających się wschodów i sufitów okazał, jak nagłém było niebezpieczeństwo i że po chwili byłoby po wszystkiemu i pierworodne dziécię księztwa, pieszczota i szczęście rodziców, byłoby się stało pastwą nielitośnych płomieni*).

W przypadku tym zapomniał Siemasz o pannie Iwanickiéj i przypomniał sobie o niéj dopiéro wtedy, gdy ją ujrzał w tłumie niewiast otaczających księżnę, która uczuciem trwogi wiedziona, przybiegła do ogrodu, a okrywając pieszczotami cudem prawie ocalone i w niczém nie uszkodzone dziécię swoje, nie przepomniała i o stojącym opodal skromnym wybawcy, wynurzając mu w najczulszych wyrazach wdzięczność uszczęśliwionéj matki.

9.

ZAKOŃCZENIE.

W kilka dni po tém kazała księżna przywołać do swojego budoaru młodego Siemasza i raz jeszcze ze łzami w oczach podziękowała mu za wybawienie córki. »Czuję się do wiecznéj dla Asana wdzięczności«, rzecze, »i wszelkiémi siłami starać się będę udowodnić to. Czy Asan kontent jesteś z pobytu na dworze naszym?«

*) Byłato księżniczka Elżbieta, późniejsza Potocka, pisarzowa koronna.

»Ach księżna pani, wielkie dla mnie szczęście...« przebąknął Siemasz.

»A więc zostaniesz u nas, robię Asana moim rękodajnym*), nie będziesz od nikogo tylko odemnie zależał; czy przystajesz na to?«

Znowu pan Matyjasz coś o szczęściu przebąknął.

»Asana rodzice«, mówiła daléj księżna, »mają podobnoś cząstkę pod Samborem?«

»Tak jest Jasna pani.«

»Mówiono mi, że wieś granicząca z gruntami rodziców Asana jest do sprzedania, dałam zlecenie memu plenipotentowi, by ją kupił na ich imię, bo chcę staruszkom, mającym tak zacnego jak Asan syna, tę małą przychylności mojéj zostawić pamiątkę.«

»Zbytek łaski księżnéj pani dla nas chudych pachołków.«

»Nic więcéj, tylko uiszczenie długu w małéj cząstce. Skończywszy jeden interes, teraz mam drugi z Asanem. Wczoraj przy tak szlachetném poświęceniu się swojém zgubiłeś list, znalazłam go i oddaję Asanu.«

Młody Siemasz zaczerwienił się po same uszy; byłto list do panny Iwanickiéj.

»Nie rumień się zacny młodzieńcze«, rzecze księżna dobrotliwie, »wiém o wszystkiém, wiém więcéj od ciebie. Tego listu nie pisała panna Iwanicka, ona nic o nim nie wié, byłto podstęp pod Asanem, chciano cię na śmiészność wystawić, zgubić w opinii naszéj; ale nie powiodło się, a Bóg chciał, by to było sprężyną ocalenia mojego dziécięcia.«

»Któż śmiał nadużyć imienia zacnéj panienki i uwieść moję łatwowierność!« zawołał śmielszym tonem młodzieniec, bo krew szlachecka, która w nim na myśl obelgi zawrzała, dodała mu odwagi.

»Ci, co to zrobili, są już ukarani«, odrzekła księżna. »Byłeś Asan haniebną otoczony intrygą; ale że się nic podobnego długo u dworu nie ukryje, właśni sprawcy wydali się, mniejszym przebaczono, lecz największy już jest daleko za murami Łańcuta.«

»Któż taki najłaskawsza pani, jeźli się zapytać wolno?«

»Poczciwy człowieku, to nie wiész nawet, kogoś miał nieprzyjacielem. Byłto *Lafleur,* kamerdyner mojego męża. Dawno nie lubiłam tego chytrego Francuza, ale cóż, książę miał słabość do niego. Gdy jednak pokazało się, że nadużywając dobroci księcia, kradł go nielitościwie i jeszcze najgrawał się z jego zaufania; mając tego dowody, przekonałam męża i musiał go odprawić.«

Oblicze młodego Siemasza rozpromieniło się radością na tę niespodziewaną wiadomość. Postać Stólnikówny znowu czysta, niepokalana, zajaśniała oczom jego, tym milsza, że wolna już od czyhających spojrzeń spółzalotnika. Uroczy ten obraz tak działał na jego umysł, że zapomniawszy gdzie jest, westchnął głęboko.

Uważała to księżna i uśmiéchnęła się nieznacznie. Bystry wzrok jéj przeniknął myśl młodzieńca. »Słyszałam«, rzecze, »że *Lafleur* wzdychał do Iwanickiéj.«

»Zuchwały Francuz«, zawołał z oburzeniem pan Siemasz, »pozwalał sobie podnieść oczy na szlachetnie urodzoną panienkę, służebnik na obywatelkę, mającą zaszczyt być na respekcie u Waszéj książęcéj Mości.«

»Zbyt gorliwie«, przerwała księżna, »przemawiasz Asan za panną Iwanicka. Uważam«, dodała z uśmiéchem, »że ci nie jest zupełnie obojętna.«

»Wzrosłem i wychowałem się z nią razem Jasna pani, ją jednę tylko mam na tym dworze z mych strón rodzinnych, ona przypomina mi oddalonych moich rodziców — ona —«

»Dosyć tego, rozumiém Asana i pochwalam jego uczucia. Panna Iwanicka jest godna zająć tak szlachetnie myślącego jak Asan młodzieńca. Jeźli kiedyś zapragnąłbyś odmiany stanu i domowego szczęścia przy boku ukochanéj małżonki; proszę zgłosić się do mnie, a ja sama Asana z panną stolnikówną wyswatam. Ale to kiedyś dopióro, teraz jeszcze za młodzi jesteście.« To rzekłszy księżna podała Matyjaszowi dobrotliwie rękę do ucałowania, a ten z przepełnionem radością sercem rzucił się do nóg swéj nowéj dobrodziéjki.

* * *

Na zakończenie winienem jeszcze dodać, że młody Siemasz coraz bardziéj od tego czasu postępował w łasce obojga księztwa, a szczególnie saméj księżny Marszałkowéj, i niebawem wyszedłszy przy jéj dworze, jak wielu innych, na ludzi, z rękodajnego postąpił na Marszałka, potém na rządcę, plenipotenta, i ożeniwszy się z panną stolnikówną Iwanicką, osiadł w końcu przy swych podeszłych rodzicach w dziedzicznéj wiosce pod Samborem, jako wdzięczny syn, szczęśliwy małżonek i dobry obywatel.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 6 i obejmuje: 1) Wnioski dla rolnictwa, wypływające z uwag nad królestwem roślinném i źwierzęcém. (Dokończenie). 2) Jak wiele potrzeba trzymać na folwarku bydła, ażeby

*) Całém zatrudnieniem rękodajnego było podawać swéj pani rękę do powozu, lub ją z powozu wysadzać.

gospodarstwo dobrze prowadzić? 3) Słów kilka o inflamatorycznéj dyssenteryi owiec i skutecznych leczenia jéj środkach. 4) Sposób uchodzenia zacierów gorzelnianych, przyrządzenie sztucznego fermentu i prowadzenie fermentacyi. (Dokończenie). 5) Wiadomości czasowe.

Czasopisma naukowego od Zakładu Narodowego Imienia Ossolińskich wydanego. Rok siódmy, zeszyt czwarty, we Lwowie z tłoczni Józefa Schnajdera 1841 wyszedł, i zawiéra w sobie następujące rzeczy: 1) Historyja młodości Zygmunta I., czyli życie jego aż do wstępu na tron, z rękopisma J. M. Ossolińskiego. (Dokończenie). 2) Opisanie głowy petryfikowanéj (skamieniałéj), znalezionéj w obwodzie przemyskim, z uwagami nad skamieniałościami w ogólności, Tytusa hr. Dzieduszyckiego. (Dokończenie). 3) Uwagi nad polskiémi przekładami pieśni o wyprawie Igora Swiatosławicza na Połowców, przez K. S. (Dokończenie). 4) Nekrolog Michała Stögera, Dr. fil. i prof., przez Dr. Haimbergera. — Dodane do tego: Uwiadomienie o wychodzić mającym dalszym ciągu *Czasopisma naukowego* na rok 1842 w ćwierć-rocznych zeszytach, pod tytułem: *Biblijoteka Zakładu imienia Ossolińskich, poświęcona dziejom, rozprawom, i wiadomościom naukowym.* Każdy zeszyt zawiérać będzie najmniéj arkuszy dziesięć, dołączone także będą: tablice, podobizny, kamienioryty. — Przedpłata roczna 5 złr. mon. konw. *A...*

Sławne zaćmienie słońca 1842 roku. Pan Gallo profesor przy szkole nawigacyjnéj w Tryjeście donosi, że w tym roku dnia 8go lipca będzie w Europie jedno z największych zaćmień słońca w tym wieku. Wymieniając wszystkie główne miasta monarchii austryjackiéj, w których to zaćmienie całkowicie widzianém będzie, co do Lwowa, tak się wyraża: »Zaćmienie to we Lwowie zacznie się o godzinie 6téj 26 minucie, a skończy się o godzinie 8méj 34 min. z-rana. Nié masz bardziéj imponującego widoku jak zaćmienie słońca w tych krajach, gdzie takowe całkowitém, to jest centralném będzie. Słońce stanie się niewidzialném, a po blasku dnia nastąpi na kilka minut największa ciemność. Gwiazdy okażą się na firmamencie, a około niewidomego kręgu księżyca, który słońce zakryje, da się widzieć wieniec bladego ośrzeniałego światła, które jedni światłu niebieskiego źwierzyńca (światłu zodyjaka), drudzy zaś atmosferze słonecznéj przypisują. Trwoga ogarnie źwierzęta, które zimno poczują; ptactwo świérgotać przestanie; nawet ludzi przejdzie dreszcz zimna. Atoli po nocy trwającéj niespełna pięć minut, okaże się słońce w takim blasku i majestacie, o jakim zwyczajny wschód słońca ani wyobrażenia dać nie może. Dla przypatrzenia się temu wzniosłemu widowisku życzyć tylko należy, aby to zaćmienie podczas najpiękniejszéj pogody się odbyło.«

Przedruk w Belgii. Dziennik *Constitutionnel* zawiéra wykaz z memoryjału, który towarzystwo *des Gens de Lettres* podało do ministra spraw wewnętrznych z powodu szkody, jaką przedruk w Belgii wyrządził francuzkiemu księgarstwu. Szkoda ta wynosi rok rocznie 3 milijony 500,000 franków. Z trzech wielkich drukarń w Brukseli, panów: Meline, Hauman i Wahlen, przedrukowała piérwsza zeszłego roku 1299, druga 1066 a trzecia 800 artykułów. I tak z tych ostatnich ośmiuset jest 735 francuzkich, 60 niemieckich przedruków, a tylko 4 belgijskich tekstów oryginalnych. Czwarta drukarnia Jerzego Vautres i spółki, przedrukowała niedawno Thiersa dzieje rewolucyi francuzkiéj, i przedając całe dzieło po 12 franków, znalazła na to 2,000 prenumeratorów. *Revue des deux Mondes* i *Revue des Paris*, *Revue britanique* tudzież wiele innych *Revue* przedrukowują po dwa razy w Brukseli, i dla tego takowe zaledwo się we Francyi utrzymać mogą.

Nowy artykuł zbytku. Z kraju, który jest ojczyzną kawy, przybędzie niezadługo nowy artykuł zbytku. Emil Botta, w *Podróży swojéj po Arabii*, opisując dolinę Sina w Jemenie, donosi: »W częściach kraju położonych najniżéj w pobliżu wody, postrzegłem liczne ogrody zasadzone dużémi, cienistémi drzewami; pomiędzy témi rośnie drzewo kawowe, które ciepła i wilgoci wymaga, ale promieni słońca nie lubi. Drugim płodem, którym ta okolica słynie, jest *Kat* czyli gałązki drzewa (*Celastus edulis*), który piérwiastkowo z Abissynii pochodzi, ale teraz po całym Jemenie starannie jest pielęgnowany. Miękkie koniuszki gałązek i delikatne listki tego drzewa są najsmaczniejszą potrawą, sprawiają przyjemne orzeźwienie, wzmacniają po natężeniu, odganiają sen i przyczyniają się do wypogodzenia umysłu. Całkiem świeżo zjedzony *kat* sprawić może upojenie. Używanie *katu* upowszechniło się od niejakiego czasu w Jemenie, gdzie przybyłemu, w znak gościnności, *kat* za przysmak dają. Z powodu używania tego płodu, mieszkańcy Jemenu sypiają mniéj niż wszyscy inni ludzie na ziemi, a rzeczą przytém najgłówniejszą jest to, że nie widać, aby ich zdrowie na tém ciérpiało. Wielu z nich, nie sypia tam nigdy dłużéj jak trzy godziny dziennie, i są ciągle czynni i do pracy zdatni.« — Spodziéwamy się, że Anglicy ten nowy artykuł handlu niezadługo do Europy sprowadzą.

Msza, którą niewiasty ciérpiące obłąkanie, śpiéwały. Wiadomo, że w szpitalu w Salpetière niedaleko Paryża, skutecznie używają muzyki do uleczenia ciérpiących obłąkanie umysłu. Otóż w ostatnie święto Bożego Narodzenia śpiéwały obłąkane niewiasty w kościele tegoż zakładu nawet mszę świętą, na którą także mnóstwo ciekawych się zebrało. Łatwo sobie pomyśléć można, jak trudno było lékarzowi panu Trelat i nauczycielowi muzyki panu Dreifuss wyuczyć te nieszczęśliwe niewiasty, atoli skutek przewyższył wszelkie oczekiwanie. Wyobraźmy sobie pięćdziesiąt obłąkanych niewiast, które patrząc ostrym wzrokiem, niespokojnie przy ołtarzu stoją; lecz skoro zabrzmią organy, myśli ich, które inną razą ciągle są rozpierzchnione, w téj chwili zdaje się, że się w myśl jednę skupiają. Zważmyż przytém, że te niewiasty uczyły się w jednym czasie muzyki i wyrazów w obcym języku, dziwić się można, że z taką precyzyją łacińskie psalmy śpiéwały. W pauzach muzycznych, które jednę część od drugiéj przedzielają, malowało się widocznie na wszystkich twarzach obłąkanie, ale skoro organy znowu się odezwały, w okamgnieniu zmieniały się te twarze i widać było na nich wyraz rozumu, pobożności i natchnienia.

Wychodźtwo w Anglii. Ilość wszystkich wyemigrowanych z portów angielskich w roku 1840 wynosiła 90,743 osób, z których 40,642 do Stanów Zjednoczonych, 32,293 do osad angielsko-amerykańskich (z tych 21,202 osób do Kanady), 14,392 do Nowéj Holandei, 1,458 do Nowéj Zelandyi, 1,691 do Indyj Zachodnich, a reszta do posiadłości angielskich się przeniosła. W roku 1841 wychodźtwo znacznie się powiększyło, gdyż już w piérwszych 6ciu miesiącach 79,394 osób Anglię opuściło. Ilość angielskich wychodźców do Stanów Zjednoczonych w roku 1841 była jeszcze większą, niźli ta, którąśmy powyżéj wymienili, gdyż wielu z tych, którzy się z Anglii do Kanady udają, a przeto którzy w wykazie pod tą rubryką są zawarci, nie wynoszą się do téj kolonii w zamiarze, ażeby tam

pozostać, lecz puszczają się tańszą drogą przez Kwebek i jeziora kanadyjskie dla dostania się do zachodnich państw Stanów Zjednoczonych. Na uwagę zasługuje także ta okoliczność, że wychodźtwo do Australii południowej coraz bardziej się zmniejsza; jestto dowód, jak mocno ta niegdyś tak bardzo zachwalana kolonija, w publicznej opinii straciła. Przeciwnie zaś wzmogło się wychodźtwo do Nowej Walii południowej i Australii szczęśliwej.

Pamięć Rossyniego. Jeden z najbardziej zadziwiających przymiotów kompozytora opery: *Wilhelma Tella* jest jego nadzwyczajna pamięć. Na jednem *Sotrée* u barona Elmar, chciano śpiewać *tercet* z *Esule di Roma* Donizettego. Szukano długo, ale nigdzie poszytu nót znaleźć nie było można. Pod ten czas właśnie był obecny Rossyni. »*Trio* to słyszałem we Włoszech«, rzekł, »zaczekajcie wpanowie chwilkę«, to rzekłszy, siadł do stolika i napisał z zadziwiającym pośpiechem cały *tercet* z pamięci. A gdy później ten rękopis z partyturą Donizettego porównano, okazało się, że ani jednej nóty nie opuścił.

Według postrzeżeń Reaumursa ma jedna nić pajęcza 60,000 cieniuchnych włokien; 400 nici wysnutych przez młodego pająka, są dopiero tak grube, jak trzy pojedyncze starego pająka. Cztery milijony włókien młodych pająków, nie mają nawet téj grubości, co jeden włos z brody.

Szczególna kara śmierci. Kodeks karny na wyspie Sumatra, skazuje winowajcę za niektóre zbrodnie na pożarcie. Dzika tłuszcza rozdziera żywcem zbrodniarza, dla której najsmaczniejszym specyjałem są jego dłonie i pięty.

Wielką piramidę Cheopsa ważącą 186 milijonów cetnarów, nad którą 100,000 ludzi przez lat dwadzieścia pracowało, według obliczeń jednego z dzienników angielskich, można teraz za pomocą machin parowych, w roku 1823 w Anglii wynalezionych, wystawić przez 30,000 ludzi w przeciągu godzin ośmnastu.

Paryzko-strasburskie powozy pocztowe są teraz pod noc gazem oświetlone.

Ogrzewanie gmachów wodą. W królewskiéj biblijotece w Paryżu wystawiono teraz dwa piece do ogrzéwania wodą, podług urządzenia tamtejszego kotlarza Kipferlinga. Obadwa piece ogrzéwające czytelnię na dolném piętrze, kosztują około 1000 talarów. Jak słychać, tenże sam kotlarz miał otrzymać zlecenie pozaprowadzać takież same piece w całym gmachu muzeum, który teraz stawiają, by go od ognia zabezpieczyć.

Baden-Baden podług opisu jednego z podróżnych, ma 13 gorących źródeł z góry zamkowej wytryskujących. Miejsce, gdzie te źródła początek biorą, zowie się *Halle*. Przebywający tamże goście spędzają więcéj czasu na kąpaniu się, niżeli na piciu wody, dla tego nie panuje tam taka towarzyskość jak np. w Karlsbadzie, Pyrmoncie i t. d. Jestto powiększéj części szarlataneryją, co o skuteczności kąpieli prawią, bo woda najmniej się do tego przyczynia; dla tego też kąpiele nierównie są skuteczniejsze dla bogaczów niż dla ubogich, którzy innéj kuracyi opłacić nie są w stanie. Z tem wszystkiem źródła Badenu uwalniają od gośccu i reumatyzmu, tych głównych chorób czasów naszych. Baden jest jedną z najpowabniejszych kąpieli, ale dziwić się potrzeba, że w miejscu, gdzie zdrowie i swobodę umysłu odzyskać chcemy, zielone stoliki — *rouge et noir* — do kuracyi należą. Mojżesz zapomniał o jedynastém przykazaniu, to jest: »Nie graj w karty!...« któreby każdy rząd uzupełnić powinien. — Już towarzyska gra w karty, jako trwonienie czasu, nie jest cnotą; ale gra hazardowna zrządza więcéj nieszczęścia pomiędzy familijami, niż wszelki inny zbytek i marnotrawstwo, a nie jeden złodziéj, mniéj wart szubienicy niż gracz z profesyi!«

Dowód jak prędko w Ameryce miasta z ziemi znikają. Dziennik *Morning Star* wychodzący w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnéj donosi: »Linville, to niegdyś kwitnące miasto znikło z powierzchni, i tylko jeden dom oznacza jeszcze miejsce, na którém niegdyś stało. Czytelnicy nasi zapewne są ciekawi, czy je ogień schłonął, czy się w ziemię zapadło, lub też czy go nie zburzyli łupieży chciwi Kumanchowie? Bynajmniéj! Domy te zatoczono na kołach niemal o milę do sąsiedzkiego miasta La Baca. Nowe to miejsce jako szczęśliwy spółzawodnik opuszczonego Linvillu, wzrasta spieszno w bogactwo i ludność, i rokuje, że z czasem zostanie jedném z najbogatszych miast na Zachodzie.«

Chustki jeograficzne do nosa. Aby jeografiją ludowi przystępną uczynić, wyrabiają teraz w Paryżu jedwabne chustki, na których wybito główną Francyi mapę, która najpiękniejszym angielskim sztychom się równa. Purpurowe obrąbki tych chustek przy nadzwyczajnéj białości, wydają się bardzo pięknie. Chustki te nie pełzną w ługu i są dosyć tanie.

O zmarłym hrabi Westmoreland opowiadają przygodę następującą. Młody lord zakochał się namiętnie w córce bogatego bankiera Smith, lecz mimo usilnych próśb młodéj, szczérze kochającéj się pary, ojciec na ten związek zezwolić nie chciał; przeszkoda ta wzniecila jeszcze bardziéj miłość kochanków, a jak to bywa w modnym świecie Anglii, postanowiono udać się do Gretna Green, téj fabryki małżeństw nagłych, zaimprowizowanych, przez prawo uświęconych. Pewnego dnia rano, w chwili gdy bankier Smith w swoim gabinecie najbardziéj był zatrudniony licznemi interesami, pojazd z parą ognistych rumaków pędził przez bruk do Gretna Green. Rychło jednak ojciec spostrzegł nieobecność córki, a domyślając się całéj sprawki, kazał zaprządz cztery najlepsze bieguny i niebawem ruszył w pogoń. W połowie drogi kochankowie spostrzegli tuż nadjeżdzający dobrze znany im powóz; w chwilę później, całeby ich szczęście było zniweczone, wszakże w porze tak krytycznéj, młody hrabia Westmoreland okazał nadzwyczajną przytomność umysłu: wstrzymać własne swoje rumaki, skoczyć z pojazdu i dobrze wymierzonym wystrzałem pistoletowym zabić..... nie przyszłego teścia, ale jednego z jego biegunów, wszystko to było dziełem jednéj chwili. Nim z kocza bankiera zdołano wyprządz zabitego konia, młoda para doścignęła Gretna Green, gdzie związek kościelny połączył hrabiego z jego milutką, czarującą oblubienicą. Pan Smith przybył o pół godziny później, ale zamiast gniewać się, uścisnął uszczęśliwioną parę, a to było bardzo roztropnie z jego strony.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.